

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1843.

Poznań, dnia 29. Marca 1843.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydana jest rycina mód paryżkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Widać, że przez czas niejaki mniej już kładziono wartości w nauczaniu dzieci historyi polskiej, bo nie było można nawet dostać do tego książki, albo musiała być, aż śmiesznie powiedzieć, tajnie sprowadzana z Bruxelli. W tym roku zapobieżono niejako naglącej potrzebie, co wreszcie jest dowodem, że znowu zwrócono uwagę na naukę dla nas najpotrzebniejszą. W Lesznie wyszło nowe wydanie „Pielgrzyma z Dobromila.“ Niemasz wątpliwości, że w opowiadaniu tego starca historya polska wcale inną przybrała postać, jak się rozwijała w rzeczywistości. Nie można tego przypisywać zamiarowi autora czy autorki, lecz pochodzi to, że w czasie pisania tego dzieła wszyscy w ten, a nie w inny sposób, pojmowali przeszłość naszą. Są tam jednak wybrane rzeczy, do których najbardziej się wiąże pamięć dziecka i prostaczka, choć nieprawdziwe i często na mylnych powodach oparte; nie wiele to szkodzi, bo kto dalej dojdzie, ten swoje pojęcie sprostuje. Długo dzieci myślą, że je bociany przynoszą, a jednak od tej myśli w pewnych latach odchodzą. Bez porównania wyżej, i to jak niebo od ziemi, stoją dzieje Polski dla synowców przez Lelewela napisane. Nowe wydanie wyszło teraz we Wrocławiu. Życzylibyśmy, aby każda matka, mająca dzieci niedorosłe, zawsze tak, jak książkę do nabożeństwa, trzymała pod ręką to dziełko. Prawda, że w niém styl, a nawet obrazy, nie odpowiadają młodocianemu umysłowi, atoli nauczający przeczyta sam i stósownie do pojęcia dziecka opowie wypadki. Jakkolwiek mamy „Pielgrzyma“ i „Dzieje dla dzieci Lelewela“, wcaleby nie chybił, ktoby napisał trzecią książeczkę, która miałaby rzecz podług Lelewela, a tok opowiadania taki jak w Pielgrzymie.

Rok czwarty.

Dzieje trudno się pojmują bez mappy: zdaje się, że ludzie zajmujący się układaniem i wydawnictwem mapp, powinni by téż już zwrócić uwagę na potrzebę przy nauce dziejów dawniej Polski. Niech na téj mapie nie oznaczają rozbiorów kraju, bo tym już wszystkim wszędzie napatrzeć się można, ale niech oddziela prowincye i województwa Rzeczypospolitej. Niech to będzie mappa na użytek dla młodzieży, lubo pewnie potrzebna jest mappa i na użytek znawców historyi narodowej.

Rytownictwo w ogóle za mało pracuje nad rozpowszechnieniem naszych dziejów. Słyszymy, że tam w Galicyi jest uczony z wielkim zbiorem — to samo donoszą ze stron innych. Litografia wszędzie tania, cenzura na zawadzie rzadko gdzie stoi. Prawda, że pojedyncze a kosztowniejsze rzeczy, nie bardzo znajdują pokup, ale niech tylko zaczną wychodzić zbiory, a niedrogie, to z pewnością się utrzymają. Przyjacieli Ludu poszedł daleko na rycinach, ale trafił w smak publiczności. Pamiętajmy, że przez obrazki naprzód otwierają się władze umysłowe dziecka i starajmy się, żeby pierwszy pomysł jego był narodowy — azatém kładźmy mu pod oczy narodowe obrazki.

Dawniej, po szkołach publicznych, wyprawiano dyalogi, w których młodzież przez dramatyczne wystawianie pojmowała nawet najgłębsze tajemnice wiary. Historyi daleko łatwiej uczyć na teatrze. Niemasz wątpliwości, że jest wysokiem zagadnieniem poetów, wystawiać dramata ściśle historyczne, a ztąd narodowe, ale dla dzieci można byle scenę historyczną wzięść i ułożyć w ten sposób, iżby im się podobała, i żeby znajdowały zabawę. Przyszło do tego, że dla braku dobrego dzieła o historyi polskiej, małe dzieci musiały

się uczyć na pamięć wyszłych z druku przed kilku laty Tablic synchronistycznych. Już więcéj mogłyby się nauczyć w graniu małych dramatów historycznych.

OJCIEC CYRYL

profesem.

Powiastrka osnuta na tle prawdziwego zdarzenia

przez

B. F.

(Ciąg dalszy.)

4.

Janek porzuciwszy Exercitia Spiritualia zajął się wprawianiem do szabli i konia, bez czego żaden młodzieniec rycerskiego stanu obejść się nie mógł. W krótkim czasie tak się wycwiczył, iż mógł śmiało stanąć nie jednemu wytrawionemu rębaczowi, a na koniu pogonić z stepowym kozakiem. Lecz dla tego tak mu szły snadno te zatrudnienia rycerskie, że dopiero sześć lat temu jak ich całkiem zaniechał, po wyjeździe na wojnę ojca i stryja. Popadłszy w ręce jezuitckie, przezorni ojcowie chronili go od tych rozrywek, niby od pokus czartowskich, bo wiedzieli, że zasmakowawszy raz w nich, żadna siła nie zdołałaby go oderwać. Tém łatwiej tego dokonali, bo Janka strzegli jak oka w głowie, uważając go za wielką zdobycz. Nawet w czasie wolnym od nauk, kiedy bawił u matki, przydawano mu scholastyka, który go jak cień nie odstępował.

Teraz za to trawił Janek całe dnie na koniu, lub ucząc się składać szablą, a każda śmiałość i zręczność młodzieńca, zapalała rotmistrza nowym gniewem ku jezuitom.

I matka cieszyła się nad Jankiem, jak gdyby straconego odzyskała, bo z boleścią widziała swego jedynaka usuwającego się od świata.

Dość długo próbował ojciec Cyryl, czyby za jój wpływem nie można skłonić syna na jezuitę, i malował jój w żywych barwach, blask i wielką sławę jego, jako poważanego i uczonego męża, doradzcę książąt i królów. Lecz pani Zbyszewska choć słowami nie umiała odpowiadać na tak łudzącą mowę, zdołała opierać się czynem. Bo przy zdrowym rozsądku, i częstém zarządzaniu majątkiem, który mąż zdawał na nią, idąc bronić całości Rzeczypospolitej, rozwinął się u niej pewien hart duszy, który powierzchownie,

aż ostrością wybijał, choć w istocie miała tkliwe i czułe serce.

Ojciec Cyryl przed wyjazdem na ostatnią wojnę pana Zbyszewskiego, wcisnął się w dom jako przyjaciel, a po jego odjeździe z łatwością się na tém stanowisku utrzymał.

Pani Zbyszewska choć sama bez najmniejszej nauki jak wszystkie ówczesne niewiasty, lecz obdarzona z przyrodzenia jasném pojęciem, czuła potrzebę nauki na świecie. Zdumiewała się nieraz nad ogromem rozumu ojca Cyryla, jak wędrowiec nad wysokością góry, której szczyt przed jego wzrokiem we mgle nieknie. Nic dziwnego, że zapragnęła takiego skarbu dla swego dziecięcia, i z łatwością oddała go na wychowanie jezuitom. Ale kiedy Janek postanowił wstąpić do zakonu, serce jój się z żalu krajało. Przystała jednak, dowiedziawszy się, że to było wołą umierającego małżonka, i chociaż z rozpaczony w duszy zachęcała sama syna, do wypełnienia święcie rozkazu ojca.

5.

Nie napróżno Janek wkładał się tak pilnie do ćwiczeń rycerskich, bo nie długo roznoszą królewskie wici, zwołując szlachtę na wyprawę pod Smoleńsk, gdyż kwarciane wojsko ruszało ku moskiewskiej ziemi. Janek z radością gotował się na wojnę, jego młodzieńcza dusza wypuszczona z krępujących ją więzów, uczuła siłę, którą mu się zdawało, że cały świat pokona — zapragnął więc czynu, i chrztu poświęcenia dla ojezyny.

Po odbyciu przedwojennych sejmików, szlachta wielkopolska, poczęła się z domów ruszać, to polecając rodziny i interesa pozostałym, to naradzając się o nadchodzącej wyprawie.

I panowie Zbyszewscy zajechali w gościnę do starosty Rebińskiego do Orli. Nie od dzisiaj datowała się znajomość rotmistrza ze starostą, i nie na pierwszą wojnę wybierali się razem. Mile im téż teraz czas schodził, przy opowiadaniu obozowych i sejmikowych wydarzeń. I Janek sobie nie dłużył, i jemu z panną starościanką szła gładko rozmowa, choć weale nie o dawnych czasach gadali.

Tak zbiegło kilka dni i z żalem trzeba już było myśleć o odjeździe. Jeszcze na jeden dzień uprosił ich starosta, wyprawiając łowy.

Słońce październikowe z za białej mdławej zastłony ledwie się wychyliło, sron jeszcze przygniatał liścia i trawy, a na dziedzińcu w Orli od dawna pełno hałasu i gwaru. Myśliwcyki sieci i sidła na wozy ła-

dują — sokoły i krogulce wesoło skrzydłami trzepią, a dzwonki u beret w takt im pobrząkują. Charty znieczierpliwione skowyczą na smyczy, a wyżyły pogładając ptakom w oczy, radośnie poszczekują.

Nareszcie myśliwy silnie w róg zadał; na ten głos, jedni wskakują na wozy, drudzy koni dosiadają i ruszają w pole. Janek za wszystkimi pozostał. Przeharcował z ręcznie koło dworu, magierki z lekka uchylił, bo w oknie mignęły dwa długie ciemne warokocze, i przez szybę czarne oczy ciekawie wejrzały. Nie uszło to uwagi rotmistrza, uśmiechnął się i wykręcił półgłosem:

„Oj jezuitko! bodajnie oczy panny Krystyny namówią was do innego zakonu, do zakonu Adamowego.“

Młodzieniec na ten żart poczerwiał jak wiśnia, spojrzął jednak powtórnie ku oknu, konia spiął ostrogi, i z ręcznie wyminął wszystkich jakby wiedział, że ktoś za nim patrzy. — Po chwili znów było na dziedzińcu pusto i spokojnie.

W godzinę może przerwało tę ciszę psów podwórzowych szekanie, a przedewr zajechał wóz parokonnny, skórą wybity. Zesiadł z niego mężczyzna w bobrowej czapce, długiej czarnej sukni, i szedł prosto do bawialnej komnaty. Tu się przechadzała z różańcem w ręku średnich lat niewiasta, którą widocznie zmieszało ukazanie przybyłego. Ten pochwaliwszy Pana Boga, umaczał palce prawej ręki w srebrnej kropielnicy, przeżegnał siebie a potem niewiastę, a ona przed znakiem krzyża z pokorą głowę pochyliła. Sięgnęła na stół, wzięła ze srebrnym talerzem chleb i sól i podała gościowi; on przekąsił, zajął miejsce obok niewiasty.

Przez chwilę milczeli, — niewiasta jakby chciała uniknąć jego spojrzenia, pilnie się wpatrywała w kwiaty perskiego kobierca, okrywającego stół, a obok siedzący wodził badawczym wzrokiem po jej obliczu. Nakoniec ozwał się z ciężkim westchnieniem.

„I wy mościwa starościno, uwierzycie oszczerczym słowom, i wy przyrzucacie kamień do potwarzy na mnie ciskanych. — Ale Chrystus Pan więcej za nas cierpiał, i on był niewinnie spotwarzany. Lecz pobożne niewiasty pomogły mu dzwigać krzyża i łyżkowe nad jego cierpieniem lały.“ — Przy tych ostatnich słowach złożył usta i oczy, niby do płaczu. „Uspokójcie się ojcze Cyrylu“ — mówiła rozczulona starościna — „nie wszystko uwierzyłam panu rotmistrzowi.“

„Uwierzycie jednak przez połowę, a Bóg mi świadkiem, że niewinny jak ten baranek.“ — I wskazał na srebrnego agnuszka stojącego na stole,

a potem kończył. „Rotmistrz chciał synowca mieć żołnierzem, ubrał więc swój gwałt zadany kościółowi, w niewinności sukienkę, — a mnie biednego zakonnika ukazał światu jakby zbrodniarza — i ludzie uwierzyli.“ — Domawiając tych ostatnich słów zdobył się na łzę, która zwolna potoczyła się po białych licach, i zawisała na kędziarach jego czarnej bródki.

Starościna z rozrzewnieniem spoglądała na jezuitę, uwierzyła w jego niewinność, wyrzucała sobie nawet, że na chwilę mogła zwątpić o człowieku, który tyle razy brzydził jej potwarze, — bo ojciec Cyryl od kilku lat był jej spowiednikiem.

„Ojcze! zgrzeszyłam nieufnością w waszą cnotę, ale mi przebaczenie?“

„Oby wam Bóg niepamiętał, jak ja wam przebaczam. Ale mościwa starościno strzeżcie się rotmistrza, bo on od pohańców wrócił poganinem — porwał gwałtem z zakonu synowca, żeby z niego zrobić kacerza.“

„Cóż począć, kiedy rotmistrz przyjaciel jęgo-mości od serca.“

„Złe towarzystwo najlepszych ludzi psuje; a do tego pan starosta wychowany in Uniwersitate Cracoviensi, wszystko więc doczesne przekłada nad zbawienie duszy.“

Starościna westchnęła, a jezuita zapytał:

„W sercu córki waszej, czy się oeuca pobożność?“

„Jakoście radzili ojcze, wprawiam ją do praktyk nabożeństwa.“

„Nie ustawajcie w pracy, nad duszą waszego dziecięcia, trzeba naprawić co się zepsowało na dworze wojewodziny. Nic dziwnego, że panna Krystyna od modłów odwykła, bo tam żyła samą mamoną świata.“

„Nie z mojej to winy,“ odrzekła frasobliwie, „chciałam ją oddać do P. P. Benedyktynek, ale jęgo-mość niechciał mieć córki z zakonnym wychowaniem.“

„Wiele złego zaszczepiono w tę młodą duszę, trzeba to z niej wyrwać starannie — powoli. Ale młoda białogłowa, to jak wosk, jak ją nagnie tak zostaje. Nie frasujcie się mościwa pani, zpatrując się na was, wnuknie pobożność w serce dziewczeczki.“

I podniósł się, zrobił krzyż nad głową niewiasty mówiąc:

„Jak lilija wśród cierni, tak ty jesteś niewiasto wśród rodziny twojej. Wytrwaj do końca, a żaden uczynek nie będzie stracony przed panem.“

„Na wieki wieków amen“ dokończyła starościna z pochyleniem głowy.

Po tych słowach pożegnał ją jezuita, przepraszając, że ważne zatrudnienia nie pozwalają mu dłużej bawić — i wyjechał z Orli.

6.

Tegoż dnia po obiedzie siedzieli przy dębowym stole starosta z rotmistrzem, i panem Bukowskim, dawnym towarzyszem pancernym, a teraz domownikiem starosty. Między nimi srebrny dzban z małmazją i kubek, który z rąk od rąk kolejno przechodził.

Pod oknem nad krosienkami siedziały dwa dziewczęta, wyszywając na czerwonej kitajce herb województwa, białego orla bez korony. Równe wiekiem i wzrostem, tylko że u jednej spływają na ramiona dwa ciemne warkocze, a drugiej jasne. Dziewcze z czarnymi włosami, przystrojone było w fałdzisty kitajkowy sajan, a obok siedząca w skromny czamlotowy kabacik i suknię. Lecz choć ich ubiór taką różnicę wybijał, w obejściu z sobą zdawały się równe. Przy nich siedział Janek, a półgłówna rozmowa, przeplatana śmiechami, toczyła się wesoło.

U starych kubek coraz częściej kolęj obchodzi, przy pogadance o wyprawach wojennych i interesach Rzeczypospolitej.

„Pij waszmość panie rotmistrzu,“ mówił starosta, „Bóg wie czy nam się w życiu pora do tego nadarzy, może posiejemy naszymi kośćmi pola Smoleńska. I wy panie Bukowski nie ciekajcie się z tym kubkiem, bo w obozie nie raz zatęsknicie za nim. Pijmy też i za tego młokosa,“ kończył z uśmiechem spojrzawszy ku oknu, „on małmazji nie potrzebuje, bo się poi jedwabnemi słówkami.“

„Ciągnie coś na zakonnika, i już panien słucha spowiedzi,“ rzekł rotmistrz ze śmiechem, a obadwaj siedzący głośno mu zawtorowali. Jak duch zakłębem, tak starościna zdawała się być wywołaną tym śmiechem, gdyż w tej chwili wsunęła się z przyległej komnaty. Z ukosa spojrzała na Janka, zbliżyła się do panien — przeglądała ich robotę, a potem pod pozorem gospodarczych zatrudnień wysłała je z komnaty.

„I cóż to nam wasza miłość panny wysła“ ozwał się rotmistrz, „a słodkość to choć staremu na piękne twarzyczki patrzeć, i wino bardziej smakuje.“

„Piękna czy szpetna wszystko to stworzenie boskie“ — odrzekła.

„Nie wątpię, że Bóg wszystko stworzył, ale myślę, że nie grzeszę choć powiem, że są szpetne na świecie, a starościanka i panna Jadwiga urodne.“

„Dosyć tej mamony świata, aż nadto nią karmiono Krystynę na dworze wojewodziny“ i spojrzała na męża.

Lecz starosta już nie jeden kubek wychylił, oczy weselęj niż zwykle spoglądały, nie zlął więc żony za tę przymówkę, ale odrzekł żartobliwie. „Ja też zawsze mile na takie dziewczeczki spoglądałem, co się chciały podobać. I waszmość Marysunku byłaś taką,“ a potem dodał półgniewnie „ale te bobrowe czapki wszystko przeinaczyły.“

„Oj lisy jezuitę“ wmieszał się rotmistrz, „a widziałem sam jak gładciejsze liczkami, prędzej u nich spowiedzi dostawały.“

Na te ostatnie słowa, zwiędła twarz starościny pokryła się rumieńcem oburzenia, nie rzekła jednak i słowa, lecz natychmiast wyszła z komnaty.

„Janku!“ ozwał się starosta. „Dziękuj naprzód Bogu, a potem panu rotmistrzowi, że cię wybawił z jaskini jezuickiej. Już to oddawna miarkowałem, że ten Cyryl ma ci wszędzie wodę, choć jeszcze nie wiedziałem, iż pod tą świętą powierzchownością czart przemieszkuje.“

„Bo po co to w dom wpuszczać“ mówił rotmistrz, „wygnałbym na dziesiątą granicę. Oj przemknął on się koło mnie dzisiaj jak lis kiedy na niego sforę chartów spuszcza, i prosto pędził tu do Orli.“

„Macie prawdę panie bracie, że trzeba to z domu wypłoszyć.“

„Nie tylko z naszego dworu, ale z całej Litwy i Korony“ wmieszał się Bukowski, wychowaniec Lubrańskich szkoły, a tem samém nieprzyjacielem jezuickim.

„Przydało by się“ rzekł rotmistrz, „boć oni tylko przemysłiwają jak z obywateli mnichów robić. Może im się i uda, boć warto się obwiązać paskiem jakiego bractwa, ba i wioskę podarować na dobro zakonu, a za to osiągnąć starostwo, albo i krzesło w senacie.“

„Dzięki Bogu, że nie tą drogą przyszedłem do starostwa, ale macie prawdę, że się tak dzieje: nie zasługi obywatelskie, lecz ich pacierze liczą.“

„Ciężko zgrzeszył nieboszczyk pan kanclerz,“ sprowadzając z za morza tego lajka jezuickiego na króla, bo jak w dzieciństwie siekli go dyscypliną, tak teraz straszą go piekłem.“

„Co tam, nie frasujmy się“ — przerwał rotmistrz wesoło — „jak poskromimy Moskwę, pomyślimy i o jezuitach.“ I spojrzął na Janka, który siedząc przy marmurowym stoliku, smutnie spał głowę na dłoni.

*) Jan Zamojski.

„Mój jezuitko cóż waś taki strapiony?“

Młodzieniec za całą odpowiedź westchnął.

Rotmistrz przez chwilę wpatrywał się w niego, a potem zwrócił się do starosty.

„Panie bracie! pomówmy prosto bez korowodów. Wszak my się kochali z małych chłopiąt, nie dziwnego, że Janek rozmiłował się w pannie Krystynie. Jestem jego swatem i proszę was za nim, a później pokłoni się i pani bratowa o waszą dziewczeczkę.“

„Całem sercem przyjmuję wasze dziewosłęby“ odrzekł starosta i z czułością wyciągnął rękę ku rotmistrzowi. Ten ją ujął i ścisnęli dłonie serdecznie na znak zapewnienia. A Janek z bijącym od radości sercem obejmował kolana starosty i stryja.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Drugi dodatek o Nosach.

(Z papierów śmiejącego się filozofa.)

Capricioso.

Wielu z cudzoziemców i badaczy przyrodzenia zastanawiając się nad nosem, uznało, że ta najwydatniejsza część twarzy, na to tylko człowiekowi dana, aby rozróżniał nią, co śmierdzi, a co pachnie; a że się nos od źle pachnących rzeczy odwraca, i od nich ucieka, zda się, że jak Mahometanie w swym raju, samemi tylko chce żyć zapachami, samą tylko oddychać wonią. Mówież tu, że Kraszewski źle powiedział, nazywając arystokracją kwiatem społeczeństwa, kiedy nos, arystokrata twarzy, tylko dla woni stworzony! — Jest wszakże w tém coś prawdy. Wydatności w społeczeństwie tak są potrzebne i zdobne, jak wydatności nosa na twarzy. Wystawmy sobie oblicze bez nosa: nietylko brakowałoby mu czegoś widocznie, ale wzbudzałby nawet widok taki pewną odrazę. W krajach, gdzie jeszcze dziś za karę obrzynają nosy, a téj kary używali już w starożytności despoci perscy, wiedzą, że to jest największém zesromoceniem oblicza. Już i Rzymianie mienili nos poważną ozdobą twarzy (*honestamentum faciei*), i taką jest téż zapewne arystokracja w społeczeństwie ludzkim, w znaczeniu słów pewnego margrabi: „tak, ja jestem i chcę być arystokratą, bo to jest panowanie najlepszych.“ Tylko że mu nikt nie zarzucił: cożeś ty najlepszego już zrobił, czémes się zasłużył, aby cię do najlepszych policzono? Zapewne, że panowanie najlepszych jest najlepsze, ale nie panowanie najlepiej, to jest wysoko, wyżej i najwyżej urodzonych, i najlepiej, to jest najwygodniej, kosztem towarzystwa, żyjących.

Nierówności są wszędzie i być muszą, ale niech będą tylko w zasługach i pracy. Wtenczas będą ozdobą społeczeństwa ludzkiego, jak góry ozdobą są dolin, a doliny ozdobą gór, jak nos ozdobą twarzy, a twarz nosa; wtenczas powiedzieć można z Othellem, że samo niebo nie może być bez nosa: „*heaven stops the nose at it.*“

Nawija się tu zdarzenie, które Juliusz Weber w swoim *Demokrycie* opowiada. Gibbon miał nossek, oczy i usta tak małe, a twarz całą tak mięsistą i obszerną, że nosa tam prawie całe znać nie było. Kiedy go przedstawiano pani du Deffant, ta będąc niewidomą, wedle zwyczaju swego, dla rozpoznania osób, powlekła ręką po obliczu Gibbona, i że nie zawadziła o żadną wydatność, rozumiała, że w nader nieprzyzwoity sposób z nią zażartowano, i z wyrazem: *fe!* to bezeczność szkaradna! odepchła go od siebie.

Taką szkaradnością byłby naród bez arystokracji, to jest bez wydatności cnót, talentów i poświęcenia. W tém rozumieniu obrzydzi się każdy myślący jak pani du Deffant, powłócząc po zewnętrzném obliczu ludu jakiego i nie natrafiając na żadną wydatność ducha. Lecz powszechnie nie tak biorą rzeczy. Najczęściej panie du Deffant domacują się nosa herbowego, kto go rodzi, czy z czystej rasy, czy téż z poprawnej, a gdy nie natrafia na żadną taką wydatność rodową, by téż to był i Gibbon, biorą się jak owa marszałkowa w powieści Siemieńskiego, przyjmując Dołęgę w domu swoim. „Usłyszawszy to nazwisko, powiada autor, skreśliła nosem, cofnęła się parę kroków, połknęła pół kopy nagotowanych grzeczności i jękając się... — nieskończenie jestem obowiązana — pan — asan wyratowałeś mego syna — niechże siada — niechże, bardzo proszę — krzesła... — *Cet homme m'embête, tâchez de le congédier.*“

W kolei wieków, arystokraci w znaczeniu starożytném greckim, zmienili się w głupiokratów, krzywokratów, a nawet zbrodniokratów, i nie oni rządili, ale nimi rządono. To samo zrobiło się z nosem. Z wynalezieniem optyki wsadzono okulary na nos, a ze sprowadzeniem tytoniu, napychano go tabaką, i owi, których Horacyusz nazywał *chędogonosych* (*emunctae naris*), stali się bardzo nieochędoźni, i niebezpieczno im pożyczać książek do czytania, a niebezpieczniej jeszcze chodzić z nimi w zwyczaj witania się całowaniem, bo pewno ślady po sobie zostawią.

Z owéj młodej Ameryki niejedno złe przyszło do staréj Europy; przyszła tabaka dla nosów, i pomagając oczom oplugawiła nosy; ztamtąd téż przywędrowała wolność i demokracja, narobiła niemałego kichania we Francyi i po całej Europie. Podniósł się

stan średni, stan pracy i zasługi, a arystokracja, kwiat społeczeństwa, uwiadł, i już nie wonią ulubionego farię, ale tabaką przemysłu się zasila. Nie w nos to naturalnie arystokracji urodzenia, trzeba jednak postępować z czasem. Zażywają wszyscy dla zaostrenia wzroku tabakę, zażywamy i my też.

Bodajto czasy złotój wolności, którą pacta conventa warowały, czasy Targowiczian, bojarów, czasy rycerstwa, minnesengerów i trubadurów; czasy patrycyuszów, to były kwieciste błonia, pełne woni, uroku, poezji. Brzydka proza pospółstwa, plebeuszów, mieszczań i gburów, porosła różnym zbożem po tych błoniach, przeoranych pługiem czasu. Jeszcze z początku mieszało się tam dosyć kwiatu, błękitnego modraku, szkarłatnego maku i paskowego kakolu. Ale dziś, gdy owa jakaś kultura zawróciła ludziom głowy, a o której dowiódł Rousseau, że wszystko złe przyszło przez nią na świat — odtąd ani znaku kwiatu wśród zboża; nielitościwie młynkiem chędożą siewy, nielitościwiej pelą oziminy, a najnielitościwiej przetwarzają żelazcami ziemię. Gdy więc żniwo nadejdzie, nie ujrzyś nic jak kłosa, jeden taki jak drugi, równość oku nieznośna i nudna, której całą poezją mąka, a z niej chleb i kluski.

Tak będą nad sobą kwiaty i kwiatki społeczeństwa, że dziś nikt przed plonem zbożowym niedba i nie pyta się o nie, i chyba tylko na salonach kobiety włosy i suknie niemi zdobią; — tak będą i nosy, że minęła ich powaga, że zamiast na wonie, jak bywało kiedyś, wystawione ich powonienie ua przykre zapachy, że jakiś spirytus duchowy, co się rozlał między ludźmi, uderza ich w nosy. — Coby kwiatkom i kwiatom na pociechę powiedzieć, nie wiem, ale może się znajdzie jaki dziedzie włości, co znów zaodłoży pola, aby zioła na nich porosły, a dla przyjemności oka w okół dworu pozasiewa same kwiaty i kwiatki. Nosy zaś nieukontentowane mogłyby jeszcze znaleźć dla siebie drugi Coblenz. Na wyspach południowego morza są jeszcze ludy, które się lepiej znają na wartości nosów, nie tylko je więc zdobią zanosniczkami, ale spotykając i witając się ze sobą, dotykają się końcami nosów. Jest to znak należnego uszanowania i dobrze wyrozumianej przyzwoitości, aby się tylko nos z nosem stykał, a z resztą pośladu twarzy nie pospolitował.

Optyka, o której wspomnieliśmy, zapewne jest nader ważna nauka, bo rozwiera niejako ludziom oczy, i zbliża im odległe i wysokie przedmioty. Na zasługę narodu naszego powiedzieć można, że Ciółek, czyli Vitelliusz (bo to nie brzmi tak po stajennemu), napisał już w 13tym wieku pierwsze dzieło o optyce. Dziwny to symbol przyszłości, że nauka wykładająca pra-

widła widzenia u nas u ciółka się pokazała. Nie były z tego kontente nosy, bo uważały, że niedojrzane dotąd przed oczyma twarzy, teraz sztuką optyki staną się widzialne: a gdy oczy zobaczą z bliska, że to nie złoto, ale błoto, co się tak z daleka w promieniach światła świeciło; gdy zjrzą do nozdrzy, nieczystości pełnych, obejść się nie będzie mogło, by nosy nie straciły na powadze i wziętości. Atoli nie taki djabeł czarny, jak go malują. Optyka wynalazła okulary, wsadziła je na nos, i kazała oczom przez nie na świat patrzeć. Okulbaczone nosy okularami nabrały i owszém uczonej miny i nieszkodliwem stało się światło, skoro się łamało przez szkiełka na nosie osadzone. Strach dopiero powstał na nosy, gdy optycy wynalazli zwierciadła, lunety, teleskopy, które już bez dołożenia się nosów, dla samych oczu odbywają posługi, i daleko więcej rozwiększają i zbliżają przedmioty.

W czasach restauracji, kiedy znów zaczęto smakować w poezji średnich wieków, i arystokracje znów kwiatem zakwitły, powstała także restauracja nosów, jakby jedno i drugie koniecznie iść z sobą musiało w parze. Sławny Graefe, ozdobiony został zaszczytem szlachecka Polskiego przez Alexandra Cesarza Wszech Rosyji za dzieło swoje Rhinoplastykę które wydał 1818. roku 4. jest to wykład nauki chirurgicznej restaurowania obciętych nosów, którą to sztukę już nieco poprzednio Tagliacozzi w Indyach wykonywał, gdzie obrzynanie nosów jest rzeczą zwyczajną. U nas trafia się to tylko w pojedynku, w zabytku rycerskich wieków. Uważmy pilnie jakim restauracja nosów dzieje się sposobem, chociaż ztąd nie należy wnosić o restauracji równoległe z nią idącą, przyprowadzając nosy w społeczeństwie, w czasie terroryzmu francuzkiego obcięte. Oto z czoła albo z innej mięsistej części ciała ludzkiego wykrawa się nos; aby zaś to żywe mięso, zrosło się z resztą urzętego nosa, trzeba jak największej spokojności ciała; najmniejszy ruch, zepsułyby kuracją.

Zresztą jak początkowo na wszystkiój słowiańszczyźnie, wedle poszukiwań badaczów starożytności było gminowładztwo, a arystokracja rodu dopiero później się wyrodziła; tak i arystokracja nosów, także tylko do pewnych wieków sięga. Czytamy bowiem w starém prawie germańskiem, że kto komu utnie nos cały płaci 45 solidów, a jeżeli się z nosa kawałek zostało płaci 12. Można zatem było za pieniądze tyle nosów naścinać, ile się podobało. Nie dziwujmyż się, że się u nas za to pomszczono i oddano wet za wet. Szlachec za chłopą, poddańca, gdy go zabił płacił pewną kwotę grzywien, a gdy był z cudzej włości trochę więcej.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — W tych dniach opuściła prasse „Świtezianka“, fantazyja dramatyczna Luciana Siemińskiego. Możemy śmiało powiedzieć, że to jest jeden z najpiękniejszych utworów poetycznych. Osnowę jego stanowi: że młody książę daje się wciągnąć Świteziance w miłość, i przysięga jęj pozostać wiernym. Podróżuje później: Świtezianka pokazuje mu się wszędzie w nowych postaciach. Książę wraca z podróży na Litwę; ojciec wita go ze sąsiadami przez danie balu maskowego. Młody książę, zepsuty życiem wielkiego świata, nudzi się wczesnie i odchodzi. W ciągu balu znajduje się do niego Włoszka, z którą prowadził miłości, po nięj Hiszpanka, gryzетка paryska i nareszcie królowa Palmiry, to jest Świtezianka w owych postaciach, które przybierała podczas jego podróży. Młody książę wszystkim pojedynczo przyrzeka się żenić. Świtez czarodziejski zbiera pod pałac. Książę odbija na okręcie do Palmiry. Świtez opada, a Świtezianka w postaci królowej Palmiry bierze swego narzeczonego na dno wody. Ta sztuka mogłaby nawet na teatrze być wystawiona. Charakter polskiego Don Juana, jaki się za granicą nieraz ukształca, jest wyśmienicie oddany. Przebija się w nim ślad miłości ojczyzny z pierwszych lat młodzieńczych, z czego później tylko się egoizm urobił haniebny, a jednak z pretensją wzniosłości. Akcyja w ogóle króciuteńka, ale w niezmiernie dobitnych, charakteryzujących i prawdziwie polskich wysłowieniach. W każdym miejscu delikatność, właściwa najwyższej sferze salonowej.

— Czytelniczkom naszym polecamy nową kompozycyją muzyczną: „Krok podwójny, naprzód marsz!“ której autor, pan E. Ż., dochód całkowity przeznaczył na korzyść Towarzystwa naukowej pomocy.

— Towarzystwo naukowej pomocy w tych dniach wydało sprawozdanie z czynności swoich od 29. Września 1841. aż do końca 1842. r. Jako czynnych bardzo członków Dyrekeya wymienia X. Professora Kaliskiego w Trzemesznie, a Dyrektora Seminarium Nepillego i Dra Mateckiego w Poznaniu. Z Komitetów najwięcej pracowały Stęj Maryi Magd. i Stęj Małgorzaty w Poznaniu, oraz powiatów Krobskiego, Wągrowieckiego, Szremskiego, Wrzesińskiego i Obornickiego; najmniej zaś Komitety Śgo Marcina i Śgo Wojciecha w Poznaniu, oraz powiatów Międzyrzeckiego, Międzychodzkiego i Wschowskiego.

Towarzystwo pozakładało alumnaty, w których pomieszcza 24 uczniów w Poznaniu, 6 we wsi Krajewicach w powiecie Krobskim; we wsi Rusku pod Borkiem u nauczyciela sposobi się 3ch do stanu nau-

czycielskiego. Inna młodzież, która jest na koscie Towarzystwa, pobiera wsparcie w pieniądzech, odzieży i książkach. Na uniwersytetach wspiera Towarzystwo 19 uczniów, daje na podróż jednemu nauczycielowi wiejskiemu, w Gymnazyach wspiera uczniów 68, w Seminarjach nauczycielskich 44, w szkołach przygotowawczych 37; poświęcających się sztukom pięknym 8, a rzemiosłom 7, w ogóle ma teraz 184 stypendyatów; — wsparcia jednakże pobierało już 219. Na to wpłynęło do kassy Towarzystwa 11,818 tal. 17. sgr. 6. fenigów.

Liczy te przemawiają silniej na pochwałę Towarzystwa, niżby najszumniejsze panegiryki i dityramby przemówić mogły. Towarzystwo wywołuje nową siłę z pokolenia naszego, i nie po legitymacyach, ale po gieniuszu i talentach. Znajduje wielką sympatyją pomiędzy wszystkimi klassami ludu, bo cel narodowy z celem rozwijania się ludzkości — z postępem złączyć potrafiło. Jeżeli są jakie małe uchybienia w organizacyi, to te na walnym zebraniu, za pięć kwartałów nastąpić mającém, usunięte będą. Żeby tylko inne prowincye dawniej Rzeczypospolitej coś podobnego w miarę możności porobić chciały.

W Paryżu ma wyjść nowe wydanie dzieł Mickiewicza. Może nawet zostanie dopisana pierwsza część „Dziadów“, która naturalnie będzie owocem systemu Towiańskiego.

Przed niedawnym czasem przedłożono parlamentowi w Londynie sprawozdanie, które zapewne nie jedną z naszych czytelniczek w wysokim stopniu zainteresuje, bo pokaże w dobitnych wyrazach, ile ofiar wymaga moda, ile życia kwitnącego więdnie i znika, aby tylko damy wystąpić mogły według przepisów dworskich. W Londynie znajduje się piętnaście tysięcy kobiet, zatrudnionych robieniem stroi, sprawozdanie rzeczzone okazuje dowodnie, że w okropniejszym one znajdują się położeniu, aniżeli w niewoli zostający murzyni. Podczas wiosny (w Londynie od Kwietnia do Sierpnia) pracują dziewczęta nad strojami ośmnaście godzin na dzień jeden; nieraz znajduje się ich pięćdziesiąt w jednym pokoju. Mieszkają one najczęściej u modniarek. W jednym domu sypiać musiało w jedném łożu pięć dziewcząt. Ich pokarm stanowiła herbata, chleb i masło. Nieraz zdarza się, iż biedne te ofiary pracują i przez noc całą; jedna z nich powiada, iż na początku żałoby za Wilhelma IV., pracowała od czwartku zrana, aż do wieczora w niedzielę bez żadnej przerwy. Kiedy się w niedzielę spać położyła, nie mogła oczu zmrużyć z wielkiego natężenia. Inna opowiada, że pracowała

raz przez trzy miesiące po dwadzieścia godzin na dzień, dodając, że kiedy królowa wieczór wyprawia, częściej i dłużej pracować muszą. Tak też pewien lekarz zaświadcza, że nigdzie ludzie nie pracują więcej i uciążliwiej, aniżeli dziewczęta trudniące się robotą stroi i szwaczki, i dodaje, że żadne zwierzę nie zniosłoby takiego nateżenia. W handlach trudniących się robieniem żałob, często tracą wzrok robotnice. Jedna z tych nieszczęśliwych opowiada, iż pracowała przez dziewięć dni i dziewięć nocy, bez składania odzieży ze siebie, i tylko przez dwie godziny przy sposobności odpoczywała. Po tym czasie zaniewidziała. Najniebezpieczniejszą rzeczą dla oczu jest haftowanie na czarnym kolorze. *Żaloba dworska za każdym razem pozbawia najmniej trzydzieści nieszczęśliwych dziewcząt pracujących wzroku.* Świat elegancki nie wie, powiada jeden lekarz, ile tysięcy dziewcząt pada ofiarą dla tego, iż wszystkie damy nagle żądają stroi. — Jeszcze okropniej odmalowany jest w tém sprawozdaniu stan hacziarek w Nottingham. Wszystkie koronki wyrabiają tam na machinach, około których trudnią się dziewczęta od dwóch i trzech lat, pracując na dzień od szesnastu do dwudziestu godzin. Kobiety pracujące w tych fabrykach dają tym małym dzieciom opium, aby po tak nateżonej pracy zasnąć mogły. Podług urzędowych zeznań, umierają często te dzieci w skutek używania opium, a większa część traci zdrowie na całe życie. Gdyby te okropne podania nie były przelożone parlamentowi na drodze urzędowej, i nie poparte zostały świadkami pod przysięgą, trudno aby znalazły wiarę.

M O D Y.

Paryż, dnia 17. Marca 1843.

Rękawy są zawsze jeszcze przedmiotem nieporozumień. Nie skończylibyśmy naszego sprawozdania, gdybyśmy chcieli wszystkie rodzaje rękawów wymienić. Na szczególniejszą uwagę zasługują pół-gigot-rękawy, greckie, zakonnicze, i wązkie o jednym szwie rękawy. Pierwsze mogą tylko jako za przypomnienie uchodzić, drugie i trzecie wymagają półrękawków z muslinu i tarlatanu, ostatnie zaś pięknie wyglądają na pełnych ramionach.

Stroje głów wyrabiają z wstążek szklanych, pewnego rodzaju gazy purpurowo-złotej.

Suknie na wyjście bywają bardzo długie, nie tak przecie obszerne, jak dotąd; nie mają garnirunku, lecz orzucają je aksamitem lub pasamonami. Staniki są gładkie, wysoko zachodzące i sznureczkami oszyte,

lub lekko z góry na dół fałdowane. Kołnierze są małe i czworoboczne, lub mają dwa lub trzy rzędy koronek. Mankietki także koronkowe, na rękę wywijają.

W modzie są teraz prelekcyje, podobnie jak *matinées musicales* i koncerty. Toaleta stósuje się do zgromadzenia i czasu posiedzeń. Na prelekcyje biorą ciepłe, eleganckie ubiory, wysoko zachodzące suknie, pasamonami pięknie oszyte. Pod nazwiskiem tkanek pajęczych, filgranowych, koronkowych i t. d. robią śliczne oszycia z pasamonów.

Kapelusze i kapotki są modnemi na te zgromadzenia, i stroją je marabutami cieniowanemi i bukiętami wiosennemi.

Jakkolwiek modnemi są prelekcyje, zawsze jednak licznie odwiedzają koncerty. Ubiory na nie mniej są wyszukane, i pozwalają sobie tam ubierać się w stroje fantazyjne.

Najpiękniejsze ubiory widzimy podczas wieczornych koncertów, kończących się bałem. Na nich widzimy suknie z podniesionemi tunikami, sztywnemi stanikami, stroje włosów złożone z girland kwiecistych, marabutów, turbanów, koronek i t. d.

Z chustek do nosa najulubieńsze są te, na których znajduje się wyhaftowane imie właścicielki kolorowo lub biało à la Louis XIII.

Na dokończenie podajemy ubiór ślubny: suknia z białego atlasu, koronek i klejnotów. Stanik wykrojony, ramiona i piersi okrywa mantylla z angielskich koronek. Krótkie rękawy, lub półrękawy, które okrywają ramie do połowy; we włosach wianek godowy i wielka zasłona, w którą może się okryć cała narzeczona.

Objaśnienie ryciny.

1. Paletot sac z stojącym kołnierzem i wyłogami aksamitnemi. Pantalony w pasy.
2. Frak z szerokimi połami i obcisłymi rękawami. Czarne pantalony. Krawat biały.
3. Ranne ubranie. Czepek batystowy, haftowany, i wstążka zdobny. Szlafroczek jedwabny. Stanik i rękawy gładkie, powłokę zdobi tkanka sznurowa szeroka, w kształt tuniki. Mały kołnierz z kutasem.
4. Suknia balowa z niebieskiego jedwabiu, osadzona w kształt tuniki bufkami wstążek i falbanami koronkowemi. Gładki stanik, z przodu ku dołowi także bufkami zdobny i otoczony bertą kończącą. Rękawiczki lśniące. Naramiennice. Czarny aksamitny kapelusik z ślaniającem się piórem bladoniebieskiem. Włosy w długie loki ułożone.
5. Czepek batystowy, zdobny wstążką. Suknia biała haftowana.